

Anna Olimpia Mostowska

***MROCZNE
OPOWIEŚCI***

Ameryka

Anna Olimpia Mostowska
MROczne OPOWIEŚCI

Anna Olimpia Mostowska

MROCZNE OPOWIEŚCI

**Armoryka
SANDOMIERZ 2009**

Redakcja i opracowanie tekstu: Joanna Sarwa
Projekt okładki: Juliusz Susak

Copyright © 2009 by Wydawnictwo
i Księgarnia Internetowa ARMORYKA

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel (0-15) 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-7639-020-8

Matylda i Danił

powieść żmudzka

W starych archiwach znalazłam napisany ręką prababki mojej manuskrypt pod tytułem „Matylda i Danił. Powieść żmudzka”. Prababka pisze, iż tę opowieść słyszała od swojej babki, która się jej nauczyła od swojej matki, a ta jej mówiła, iż w czasie jednej swojej podróży na Żmudź, skąd sama rodem była, opowiadano jej tę historię w miejscu, gdzie miała się ona wydarzyć. Nie ręczę, że w niektórych szczegółach nie jest cokolwiek przesadzona, bowiem przez tak wiele ust przeszła, że niepodobna, gdyby jakich zmian nie doznała. Do tego, jak zwykle w tych wiekach, w których mało było piśmiennych kobiet, prababka moja bardzo źle pisała, zwłaszcza, iż używała wyrazów w naszych czasach prawie niezrozumiałych, co wiele sprawiło mi trudności w przepisywaniu tego rękopisu.

O prawdziwości treści jego wątpić mi jednak nie wolno, bo jak słyszałam w dzieciństwie, prababka moja była bardzo uczciwą kobietą, która nie cierpiąc fałszu, nigdy od prawdy się nie oddalała. Jestem więc przekonana, że prawdziwą hi-

storię przekazuję, nic nie przydając, ani ujmując manuskryptowi. Polecając to pismo opiece ponurego ducha Ann Radcliffe, opowieść prababki mojej zacznym...

„Na żmudzkiej ziemi od tej strony, gdzie się granica Infant zaczyna, znajduje się wielka puszcza, przy której stoją wspaniałe rozwaliny starożytnego zamku, niegdyś przez kawalerów krzyżackich jeszcze zbudowanego. Ten zamek na wysokiej wystawiony górze, po lewej stronie ma bagna i niedostępne lasy – wieczne siedliska drapieżnych zwierząt. Lecz jeśli to położenie przykre się wydaje wędrującemu, z ukontentowaniem może on zwrócić swe oczy ku prawej stronie tej okolicy: rozległe łąki, które kilka małych strumyczków, węzłem się kręcąc, ożywia a także rozmaite gaje, liczne trzody i gdzieniegdzie wesołych wieśniaków siedliska czynią te miejsca jednym z najpiękniejszych, które dotąd widziałam.

Kiedy zmuszona okolicznościami podróżowałam przez tę krainę i próbowałam umilić sobie nudną drogę przypomnieniem starożytnych dziejów, które towarzyszyły tym miejscom, wypadek powozu zdarzył, że musiałam w miejscu owym spędzić noc. Zaprowadzono mnie do małego kamiennego domku, wybudowanego po lewej stronie zamku u stóp góry, na której się znajdował.

Stary gospodarz ofiarował mi swoją ubogą, lecz wyborną wieczerzę. Znalazłam w tym człowieku gościnność i cnoty, które dawnych ojców naszych zdobyły. Ponieważ daleko jeszcze do nocy było, poprosiłam gospodarza, aby mi towarzyszył w zwiedzaniu zamku, co on chętnie uczynił. Znający te miejsca starzec wiele mi rzeczy dziwnych i ciekawych opowiedział, po czym dodał:

– Wszystko to, com ci, pani, mówił, fraszką jest wobec tego, co wiem o małym domku, w którym mieszkam. Jeżeli cię, pani, nie zmęczyłem opowieściami, to chętnie przedsta-

wię rzecz godną przekazania potomnym, żeby przekonać niedowiarków, którzy upornie utrzymują, że duchy i strachy są to bajki, na to tylko wymyślone, aby gmin pospolity bawiły.

Upewniłam starca, że sen daleko był jeszcze oczu moich, i że z przyjemnością wysłucham jego opowieści.

Powróciliśmy więc do domku, gdzie usiadłszy na ławie pod rozłożystą stuletnią lipą, starzec w te słowa powieść swoją rozpoczął:

– Ten domek niegdyś należał do niewiasty o imieniu Gryzalda. Ta skromna budowla i trochę ziemi było jedynym majątkiem tej zacnej kobiety i dwóch jej córek, które z największym wychowywała staraniem. Wieki już upłynęły od tych zdarzeń, lecz wieść o nich na zawsze została wryta w umysłach tutejszych mieszkańców.

Gryzalda pochodziła z wielkiego niegdyś rodu, do którego ów zamek należał. Otrzymała najdoskonalsze wychowanie. A choć rodzice jej byli ubodzy, oddali ją jednak do domu, któremu na dostatkach nie zbywało. Różne nieszczęśliwe przypadki doprowadziły Gryzaldę do stanu daleko nędzniejszego niż ten, w którym u rodziców była. Wszakże rozum zdrowy, umysł stateczny i mocna religia nie pozwoliły Gryzaldzie popaść w rozpacz. Dziękowała ona Bogu, że się jeszcze jej to ubogie miejsce zostało, w którym znajdowała schronienie, i dosyć ziemi, aby mogła najgwałtowniejszym swoim potrzebom zadość uczynić. Przy pracy czas jej schodził prędko, a gdy córki urosły, miała w nich towarzyszkę przyjemne i pomoc w gospodarstwie.

Jednak w kilka lat po tym, gdy w tym domku osiadła, zauważono z niemałym zdziwieniem, iż lubo powierzchownie największe ubóstwo panowało w mieszkaniu Gryzaldy, żaden człowiek nieszczęśliwy nie wyszedł jednak z domu tego bez opatrzenia: każdego pocieszono, nakarmiono i odziano. Drugi powód zdziwienia był taki, iż córki jej tak były chowane, że w najfortunniejszym nawet stanie, staranniej nie mogłyby być prowadzone. Lecz co do najwyższego stopnia wzbudzało

zdziwienie i ciekawość, to to: iż te dziewczęta nie szły za mąż, mimo że z powodu wdzięków i przedziwnie dobrego wychowania w całej okolicy przez wszystkie matki dla synów swoich za żony żądane były, a osobliwie starsza, której imię było Matylda.

Ta, posiadając dotąd w tych miejscach niewidzianą jeszcze piękność, gorąco była kochaną przez bardzo bogatego i młodego pana imieniem Daniło. Mieszkał on w sąsiedztwie i choć wszystkich używał sposobów na to, aby nakłonić Gryzaldę do zezwolenia na jego połączenie się z Matyldą, matka jednak zawsze mu jej odmawiała. A gdy wszyscy starali się jej dowieść, iż nie znajdzie nigdy dostojniejszego męża dla córki, ona się tym wymawiała, że Matylda była jeszcze zbyt młodą, że jej pomocy potrzebowała, i że ją nie chce oddawać w związek małżeński za człowieka, którego stan zbyt znacznie wynosił się nad ten, w który ubóstwo jej córkę pogrążyło.

Roku jednego głód straszny trapił te okolice. Zboże w tak wielką poszło cenę, że ludzie niemajątni, żadnego nie mając sposobu, nędznie umierać musieliby, gdyby ich Gryzalda nie ratowała. Dała wszystkim wolny przystęp do domu swego, rozdawała każdemu potrzebującemu, chleb i inne pokarmy, i cały powiat od nieuchronnej śmierci wybawiła. Wnosić stąd można, jak podobne czynności tak niezgodne z ubóstwem Gryzaldy powiększyły podziwienie wszystkich tamecznych obywateli. Wielu różnie o Gryzaldzie myślało. W końcu powszechne stało się mniemanie, że Gryzalda posiadała sztukę czarnoksięską. Lecz i ten krzywdzący ją wniosek niedługo się szerzył: cnotliwe jej życie, pobożność i dobroczynność zbijały te mniemania. W końcu – jak zwykle bywa – przyzwyczajono się do jej sposobu życia, przestano się dziwić, wnosić i posądzać, a mając nieustannie pod oczyma jej cnoty i rzadkie przymioty jej córek, oddano jej sprawiedliwość i poprzestano na powszechnym szacunku, zostawiając im ich sposób życia, bez badania o źródło, skąd tyle dobrodziejstw czerpały.

Wszelako postępowanie Gryzaldy nie było tym dziewczynom do smaku. Matylda osobliwie rzewne łzy nad losem swoim wylewała; kochała ona z wzajemnością Daniłę – szlachetnego młodzieńca, o którym wyżej nadmieniałam. Zdawało się, że przyrodzenie stworzyło ich umyślnie jedno dla drugiego. Równie byli ozdobieni rzadką pięknnością, talentami i rozumem: równie mieli duszę wspaniałą i serca czułe. Słowem, nie pozwalać na ich połączenie zdawało się dziwacznym być okrucieństwem, nad którym nieszczęśliwa Matylda próżno dręczyła swój rozum, aby zrozumieć, co mogło być przyczyną dla tak dobrej matki do sprzeciwiania się w rzeczy, która dla niej jedynym była uszczęśliwieniem. A nie mogąc odkryć tej tajemnicy, kończyła zawsze uwagi swoje na łzach i narzekaniu na los. Na próżno też wypytywała matkę, w czym Daniło był jej tak niemiłym. Lecz nieubłagana Gryzalda srogie jej nakazywała milczenie, grożąc swoim gniewem, jeśliby się odważyła powtarzać podobne zapytanie. A gdy mimo wszelkich starań nie mogła wskórać, aby córka przestała się widywać potajemnie z Daniłą, przykazała jej, pod największą karą, aby z domu wcale nie wychodziła i przekleństwem ją swoim zastraszyła, jeśliby się ważyła być jej nieposłuszną.

Odtąd Matylda nic już takiego nie czyniła, co by matce przykrym było. Dnia jednego, gdy zapłakana, według zwyczaju swego, siedziała przy kądzieli, młodsza córka Gryzaldy wyszła dla przysłuchania się wdzięcznemu śpiewaniu słowika a zdawało się, że ten ptaszek umyślnie na tak bliskim usiadł drzewie, aby swym miłosnym pieniem smutną pocieszyć Matyldę. W tym samym czasie młody Daniło krążył koło domu, a spostrzegłszy dziewczynę, myślał, iż to pewnie była kochanka jego, która równie z nim cierpiąc, wyszła w nadziei, że się z nim zobaczy. W tym mniemaniu zbliżał się do Klary, która ze strachu przed matką, skoro go ujrziała, chciała uciekać, lecz on ją dogonił, pochwyciwszy za suknię.

– Zatrzymaj się, piękna Klaro! – rzecze. – Miej litość nademną! Powiedz, dlaczego okrutna Matylda przyczynia się do mego cierpienia, unikając mnie?

Klara opowiedziała mu, jak matka zakazała surowo jej siostrze, aby z domu nie wychodziła. Zrozpaczony Daniło prosił Klarę na kolanach, aby mu pomogła.

– Ponieważ tobie wolno wychodzić – rzecze do niej – możesz być dla mnie wielką pociechą, jeśli zechcesz przekazać list mój do Matyldy, ponieważ wszystkie sposoby jej widywania mnie są odjęte. Niech wie przynajmniej, że mojej miłości ku niej nic nigdy nie odmieni! Niech wie, jak bardzo cierpię!... O, nie odmawiaj mi, Klaro, jeśli nie chcesz, abym trupem padł u nóg twoich!

Klara, bardziej czuła na zmartwienie siostry, niż na lzy Daniły, zezwoliła na jego prośbę. Ten nieszczęśliwy młodzieniec prosił ją, aby kilka minut poczekała, póki nie napisze krótkiego bileciku w sąsiednim domu. Gdy odszedł, Klara usiadła pod drzewem, które w tym momencie mocno zadrżało, bo zerwał się tak straszny wiatr, że jej chustkę zdarł z głowy. Gdy się powietrze uspokoiło, usłyszała szept:

– Uciekaj, Klaro, jeśli zginąć nie chcesz...

Przełęczniona Klara nie czekała na drugie podobne ostrzeżenie. Włosy stanęły jej dęba i zimny pot zlał jej czoło. Wbiegła do domu, gdzie na pół umarła padła u nóg matki, która rozmawiała z Matyldą. Przełęcznione obydwie tym niespodziewanym zdarzeniem, starały się Klarę do zmysłów powrócić, co nie bez trudności im się udało. Gdy ta w końcu odzyskała przytomność, opowiedziała im swoją przygodę. Gryzalda, jakby straciła rozum, żalonym krzyknęła głosem:

– Nieubłagany duchu, nie dosyć ci ofiary jednego dziecka mego, chcesz że drugie życia pozbawić?!

Te słowa niezmiernie zadziwiły Matyldę i Klarę, toteż prosiły Gryzaldę o wytłumaczenie tego niepojętego wykrzyku. Gryzalda nie mogąc już dłużej oprzeć się ich naleganiu, ze-

zwolniła na to, czego ądały. Usiadły ciekawe córki obok matki, która w te słowa zaczęła im opowiadać swoje przypadki:

– Wyznaję wam, że pomimo chęci zaspokojenia waszej ciekawości, czuję także, iż przyszedł czas, w którym koniecznym się staje, abym wam odkryła przyczynę postępowania mego z wami w sposobie, który wam był przykrym, a osobliwie dla Matyldy. Sposób ten nie tylko was, ale nawet wszystkie tutejsze okolice nie raz w wielkie wprowadzać musiał zdziwienie. Dalsze milczenie na to by chyba służyło, aby nieświadomość, w której dotąd zostawałyście, narażała was na przypadki podobne do tych, których Klara dziś doznała. Odkładałam, ile mogłam, to smutne objaśnienie, dzieci moje! O, wiele razy gorzkie łzy wylewałam nad okropnym musem, który mnie przynaglał opierać się w tym, co wasze szczęście spełnić mogło, droga Matyldo! Nieraz pewnie w duszy twojej wyrzucalaś mi moje okrucieństwo. Wtedy ja równie z tobą, a może bez porównania więcej cierpiałam!

Tu Matylda i Klara rzuciły się obydwie matce na szyję, nie mogąc nic mówić z wielkiego rozrzewnienia. Gryzalda kilka minut cicho płakała. Potem, otarłszy z łez oczy, kazała córkom, aby na swoich miejscach usiadły i nie przerywały jej więcej, a gdy jej to obiecały, Gryzalda tak swą rzecz dalej opowiadała:

– Lat będzie temu blisko piętnaście, jak utraciłam męża mego. Gdy pierwszy żal z tak wczesnej i bynajmniej niespodziewanej śmierci minął, poczęłam myśleć o moim losie.

Wiedziałam, że mój mąż żył ze zbytkiem, który przewyższał daleko dochody jego. Umyśliłam więc policzyć, ile mi po nim czystego majątku zostaje. Uczyniwszy to, poznałam ze smutkiem, iż tak byłam obciążona długami, że nic więcej po zapłaceniu ich nie zostanie oprócz domku, w którym żyjemy i odrobiny do niego przyległego gruntu. Uzbrowiwszy się na wszystkie strapienia, na które tylko ubóstwo wystawić może, i poleciwszy się Wszechmocnemu, który nigdy cnotliwych nie zostawia bez pociechy, opuściłam dość wspaniały pałac, gdzie

dni pierwszej mojej młodości pędziłam szczęśliwie z mężem, którego nad własne me życie kochałam, i udałam się z wami bardzo małymi jeszcze na to miejsce. Pierwsze lata przykre mi były, lecz praca skracala mi długie chwile a czas – najlepszy z lekarzy – przyzwyczaił mnie do mego nowego życia. Došlo nawet do tego, że stan mój błogosławiłam, bom doznawała spokoju, która mnie często opuszczała, gdy żyłam pomiędzy tymi, których nazywają ludźmi z wielkiego świata.

O, spokoju święta! O, wiejskie zacisze! Kto was cenić nie umie, kto was dla zgielku i czynnego próżnowania życia miejskiego unika, kto sam z sobą żyć nie może, ten godzinę pożałowania! Wiele posiadacie rozkoszy nieznanych przez te dusze burzliwe, którym trzeba starań tysięcy ludzi, by jedno wzruszenie w ich sercach wyzuty z uczyć wzniesić mogli! Wieleż razy, oddychając wolnym powietrzem, przyglądając się zadziwiającemu obrazowi całego stworzenia, wznosząc duszę moją aż do tajemnic dziwnych, pozostawałam godziny całe w zachwyceniu, którego mieszkani miasta doznać nigdy nie może w tych wymuszonych widowiskach, gdzie się wszystkie kunszta wysilają dla słabego i niedokładnego naśladowania w malutkiej części tylko tego, co przyrodzenie z takim zbytkiem rozrzuca...

Dzieci moje, byłam bardzo szczęśliwa, a gdy myślałam, że w źródle największych utrapień znalazłam tę spokojność i to uszczęśliwienie, korzyłam się przed Tym, który tak wielu dobrodziejstwami człowieka obdarzył.

W tej to zostawałam sytuacji, gdy zdarzenie dziwne inny dało zwrot losowi mojemu i na nowo spokojność moją zburzyło. Lecz któż oprzeć się może przeznaczeniu swemu? Jednego wieczoru, gdy miesiąc niewypowiedzianie oświecał te okolice a łagodność powietrza zachęcała do przechadzki, błąkałam się długo po górze, na której ten starożytny zamek stoi. Gdy usłyszałam jakiś szmer pośród tych murów, mniemałam z początku, iż były to nocne puszczyki, sowy, lub inne stworzenia podobnego rodzaju, które takie dźwięki wydawać zwy-

kły, lecz huk coraz bardziej się pomnażał. Obróciłam się ku miejscu, z którego wychodził. Zdało mi się, jakbym jakieś blade, migające światełka ujrzała. Przyrodzona bojaźń mocny strach we mnie wzniciła. Przypadek zrządził, że księżyc zaszedł za obłoki – ciemność pomnożyła okropność i przynagliła mnie do szybkiego powrotu do domu.

Opowiedziałam czeladzi, co mi się przytrafiło. Staruszka, która od dzieciństwa mego nigdy mnie nie odstępowała i która – jak pamiętacie – niedawno dokonała żywota, mocno mnie strofowała, że mam zwyczaj sama po tych okropnych miejscach w nocy się przechadzać i że tam pewnie duchy jakieś założyły mieszkanie. Także i czeladź przystała na to chętnie, opowiadając mi o zamku wiele rzeczy dziwnych, które im się zdarzyło słyszeć lub widzieć. Śmiałam się z ich powieści, będąc przekonana, gdy pierwszy strach minął, iż to wszystko, co oni i ja słyszeć mogliśmy, musiało mieć jakąś naturalną przyczynę. Z tego powodu umyśliłam wśród dnia zwiedzić te starożytne budowle, nie odkładając tego przedsięwzięcia dalej niż do dnia następnego. Zwierzyłam się z planów moich jednemu z sąsiadów: był to człowiek świątły, który zgadzał się z moim zdaniem, i z wielką chęcią przyrzekł towarzyszyć mi w wyprawie.

Sąsiad mój przyszedł o wyznaczonej przeze mnie godzinie. Dla większego bezpieczeństwa wzięliśmy jednego sługę uzbrojonego w mocny kij. Mój towarzysz to samo uczynił i tak zaopatrzeni wyruszyliśmy w drogę. Gdy doszliśmy do zamku, weszliśmy do środka przez pierwsze drzwi, które nas do wewnętrznych pokoiów zaprowadziły. W krótkim czasie przebiegliśmy przez wiele galerii, ganków i sal niezmiernie wielkich, lubośmy żadnego ducha, ani nawet zimnego stworzenia tam nie napotkali. Ciekawość nasza jednak była wciąż cokolwiek żywa. Zastanawiała nas nade wszystko starożytna struktura gmachu tego, rozporządzenie jego pokoiów, ich wielka liczba i obszerność.

Najbardziej przykuły naszą uwagę napisy w dawnym niemieckim języku. Mój sąsiad znał tę mowę i – choć z wielką trudnością – potrafił jednak niektóre napisy odczytać i na polski przetłumaczyć. Zdawało się, iż wszystkie jednej tylko dotyczyły osoby, której wdzięki nadzwyczajnie wychwalano a która nosiła imię Edgarda. Cyfry także w wielkiej liczbie po murach wyryte znajdowały się z różnych imion składane, lecz z każdej litera E była znaczna, stąd wnieśliśmy, że ta Edgarda musiała być panią tych gmachów, że była piękna i przez wielu rycerzy kochana.

Te uwagi stały się źródłem naszych wesołych rozmów, bowiem sąsiad mój – biegły w starożytnych historiach – opowiedział mi ich wiele i z zapalem malował obraz bohaterskich czasów, w których kobiety czczone były jak bóstwa. Ubolewałam nad upadkiem naszego panowania.

– Co jest przyczyną – pytałam się mego sąsiada – żeśmy tak wiele utraciły z tej przewagi, którą dawniej do tak wysokiego stopnia posiadałyśmy nad mężczyznami?

– Pozwól, pani – odpowie mi z uśmiechem ten grzeczny i uczony człowiek – abym własnemu twemu domysłowi zоставił rozstrzygnięcie tej kwestii.

– Rozumiem cię – rzekłam. – Nie chcesz mi wprost powiedzieć, żeśmy same sobie tylko winne umniejszeniu władzy naszej, ale dajmy temu pokój, pora już późna, wracajmy do domu.

W rzeczy samej, czas nam tak minął prędko, żeśmy nie spostrzegli, jak słońce zaszło i noc nas zaskoczyła. Gdy wyszliśmy z gmachu, obiecaliśmy sobie powtórnie razem wrócić, by zwiedzić go do końca, a nade wszystko, dla pięknych z tej góry widoków i dla użycia zdrowego powietrza, którym się oddycha na tej wyżynie. Lecz to przedsięwzięcie dopiero rok później do skutku przyjść mogło dla z powodu różnych zajęć mojego sąsiada.

Ponieważ z natury jestem śmiała, zwiedzenie zamku umocniło mnie jeszcze w przekonaniu, że w tych pustkach nic

innego nie mogło dać się słyszeć prócz głosów nocnych ptaków, lub upadku kamienia, którego huk przez echo był powtórzony. Takowe mniemanie jeszcze więcej mnie ośmieliło, często więc sama, nie biorąc z sobą nikogo prócz jednej służącej, chodziłam na tę górę nawet aż na zamkowe dziedzińce.

Pewnego dnia, gdy się do zwykłej mojej przechadzki gotowałam, przyszedł do mnie wspomniany wcześniej sąsiad. Przypominałam mu jego obietnicę, a ponieważ dnia tego miał czas, poszliśmy natychmiast. Wydawało mi się, że mnie moc jakaś niewidzialna gwałtem do tego zamku ciągnęła, jak gdybym przeczuwała, że tam znajduje się dla mnie źródło długich i nie mających końca zmartwień a zarazem wszystkiego, co mogłoby zaspokoić pragnienia najchciwszego z ludzi.

Tu Matylda i Klara podwoiły uwagę w słuchaniu a Gryzalda rzecz swoją tak dalej prowadziła:

– Gdyśmy z sąsiadem przyszli na miejsce, które tyle ciekawości w nas wzniecało, i skorośmy u bramy głównej zamku stanęli, dostrzegliśmy nieopodal zamurowane drzwi, których dotąd nie widzieliśmy. Przyszło nam do głowy to zamurowanie kazać wybić, aby zobaczyć, co za tymi drzwiami się znajdowało. Zaraz jednak zrobiliśmy to sami: mur bowiem tak był słaby, że po kilku uderzeniach dosyć go wypadło, aby przez powstały w ten sposób otwór wygodnie przejść można było.

Zobaczyliśmy z wielkim zdziwieniem, że te drzwi prowadziły do długiego korytarza, którym doszliśmy do nieznanego nam dziedzińca. Wielkie podwórze wprowadziło nas na szerokie schody z ciosanego kamienia, prowadzące do obszernych pomieszczeń, podobnych do tych, które już zwiedzałam. Nic nowego dalej nie dostrzegliśmy prócz napisu w słowackim języku następującej treści:

„Tu były Edgwardy wspaniałe mieszkania,
Siedlisko rozkoszy, żartów i kochania.
Tu w miłości szaty występki przybrany

Gotował rycerzom haniebne kajdany.
Tu tysiące ludzi życie postradali.
Sprawiedliwe Nieba zbrodnie ukarali.”

Po tym odkryciu nie mogliśmy już wątpić o słuszności naszego wniosku, że Edgarda była właścicielką tego zamku. Nie wiem, dlaczego po przeczytaniu tych wierszy jakiś strach mnie przejął a wiatr, który powstał, nieprzyjemnie hucząc, powiększył we mnie trwogę, do której się sąsiadowi memu przyznałam. Śpiesznie bardzo przebiegłam resztę miejsc, co nam jeszcze do oglądania zostały i daleko prędzej do domu wróciłam, niż się spodziewałam.

Stara krewna moja spotkała nas i spytała, cośmy też tam ciekawego zobaczyli. Powiedzieliśmy jej, jakie nowe miejsce odkryliśmy, i jak do niego weszliśmy przez otwór, który sami sobie zrobiliśmy, wybijając mur w drzwiach zamurowanych. Potem pokazaliśmy jej przepisane przez nas wiersze wyrte nad podwojami. Lecz krewna moja, obstając przy swoim, zaklinała mnie, abym poprzestała chodzić do tych pustek, a już i sama zaczynałam tracić do tego ochotę, choć przyczyny tej odmiany w rzeczy, która mnie dotąd bawiła, wytłumaczyć sobie nie mogłam. Szczerze obiecałam, że zadość uczynię jej żądaniu. Wkrótce okropne zdarzenie potwierdziło moje przecucia.

Jednej nocy z najmocniejszego snu coś mnie przebudziło, zdawało mi się, jakby złodowaciała ręka po ciele moim się posuwała. Na krzyk, który mi strach wycisnął, wbiegła służąca ze światłem. Długośmy szukały, nic nie znajdując i już chciałam to przypisać sennemu wyobrażeniu, gdy przy poprawianiu pościeli ku wielkiemu naszemu zdziwieniu wypadł spod poduszek klucz ogromny, jaki zwykle się do skarbców używać. Żadnego podobnego w domu nie było. Służebna, która mi pościel słała, zapewniała mnie, że nic dziwnego nie widziała. Wierzyć tej kobiecie musiałam, bo jakież by miała powód mówić nieprawdę w podobnej okoliczności?

Wątpić więc nie mogłam, że w samej istocie był ktoś w mojej izbie i że to zapewne ta sama osoba, która ten klucz pod moje poduszki podłożyła, sprawiła to nieprzyjemne dotknięcie, które mnie przebudziło. Lecz gdzież się podziała? Jakim sposobem weszła? Wszystko to przechodziło moje pojęcie. Przeżyłam resztę tej nocy bardzo niespokojnie a na następną kazałam spać przy mnie mojej służącej i starą krewną moją prosiłam, żeby to samo uczyniła. Lecz gdy przez kilka nocy nic się słyszeć ani widzieć nie dało, uspokoiłam się i zaczęłam wnosić, że czas zapewne tę tajemnicę odkryje, a że lubiłam sypiać sama, powróciłam do dawnego mego zwyczaju.

Kilka dni upłynęło od czasu, kiedy znowu sama sypiać zaczęłam, gdy o północy mocne targnienie obudziło mnie nagle! Wystawcie sobie dzieci moje, jak wielkiego strachu doznać musiałam, gdy okropną postać wybladłego trupa stojącego przed sobą zobaczyłam!

– Nie bój się, Gryzaldo – rzecze mi ta potwora. – Nic ci się złego przytrafić się nie może! Widzisz przed sobą tę występłą Edwardę, do której zamek, który z taką ciekawością zwiedzałaś należał, i dla której te napisy, coś po murach czytała, zrobione były! W dziesiątym już pokoleniu jesteś wnuczką moją! Przeznaczenie kazało, abyś była moją wybawicielką, wstań więc i idź za mną...

Strach i zdziwienie ścięły m krew w żyłach, jednak widząc się pod przemocą jestestwa mocniejszego ode mnie, sądziłam, iż sprzeciwić się woli jego byłoby rzeczą próżną, wstałam więc, rzuciwszy na siebie lekkie odzienie, i wzięwszy świecę, która od pierwszego razu com się przestraszyła, zawsze się paliła w mojej izdebce, powiedziałam marze stojącej przy mnie blisko, że gotowa jestem iść za nią.

– Weź z sobą ten klucz, coś w łóżku swoim znalazła – odpowie mi straszycło, co gdym uczyniła, zmarła Edwarda pokazała mi ręką, abym szła za nią. Ledwośmy próg przestąpiły, świeca moja zgasła, lecz na to miejsce ujrzałam płomień podobny do jasno palącej się pochodni nad głową mary, która